

'Złocieniec. Przygoda z historia'

J. Leszczyłowski

W 1790 roku świeżo przybyły do miasta kupiec o nazwisku Klatt wystąpił do rady miejskiej o koncesję na handel sukniem. To nazwisko zaznaczy się dobitnie w historii złocienieckiego włókiennictwa. Klatt musiał osiągnąć spore sukcesy w handlu, gdyż pojawiły się skargi dotyczące silnej konkurencji, którą rozbudził. Oskarżenia nie zdały się na nic, gdyż już w 1792 roku kupiec otrzymał od rady pewien obszar nieurodzajnej ziemi do celów budowlanych. W tym miejscu Klatt wybudował farbiarnię. Sława złocienieckiego sukna zwróciła uwagę króla Prus Fryderyka Wilhelma III, który w 1837 roku wysłał do miasteczka kilku urzędników ministerstwa finansów z interesującą propozycją dla związku sukienniczych rzemieślników. Związek miałby przygotować budynek wyposażony w maszyny przędzalnicze, a rząd sfinansowałby dostawę pasa transmisyjnego i maszyny parowej. Warunkiem tej rządowej pomocy było zobowiązanie do sześcioletniej ciągłej produkcji. Złocienieccy sukiennicy dali jednak dowód krótkowzrocznego konserwatyzmu, zgodnie odrzucając propozycję rządu. Był to też okres walki z propozycjami wprowadzenia wolności rzemiosła. Cech chciał w dalszym ciągu prowadzić wewnętrzne egzaminy dla czeladników, twierdząc, że otwarcie zawodu spowodowałoby spadek jakości rzemiosła. Magistrat odpowiedział, że egzaminy i tak stały się fikcją, bo zdają wszyscy kandydaci, a są to prawie wyłącznie kuzyni egzaminatorów. Większość złocienieckich sukienników zachowywała się defensywnie, za wszelką cenę starając się utrzymać stary porządek. Urzędnicy ministerstwa nie dali za wygraną i próbowali odwiedzać poszczególnych majstrów, składając im indywidualnie tę samą propozycję. Wszystko na nic. Musieli z niczym wracać do Berlina. Niedługo po wyjeździe urzędników o ich propozycji dowiedział się właściciel farbiarni Ludwik Ferdynand Klatt. Postanowił osobiście udać się do Berlina, aby poprosić w ministerstwie finansów o maszynę parową. Właśnie zakończył budowę budynku przeznaczonego na farbiarnię, gdzie zamierzał urządzić fabrykę. Ministerstwo ufundowało maszynę, która pochodziła z berlińskiej fabryki Freunda. Pod koniec 1838 ruszyła w Złocieniu pierwsza na Pomorzu przędzalnia napędzana maszyną parową. Klatt natrafiał na liczne kłopoty związane z dostawą niezbędnych maszyn i pozyskaniem fachowców. Zamówione maszyny przędzalnicze dotarły do miasta dopiero po trzech miesiącach, co było spowodowane głównie kiepskim stanem dróg.



Fabryka Ludwika Ferdynanda Klatta

Zamiar uruchomienia maszyny parowej został ogłoszony przez złocieniecki magistrat, aby umożliwić mieszkańcom wniesienie ewentualnych protestów, co nie nastąpiło. 12 maja 1839 roku kontrolę techniczną kotła parowego przeprowadził królewski inspektor budowlany Blaurock z Lubiszewa. Kocioł ciśnieniem przekraczającym 6 atmosfer napędzał maszynę o mocy 10 koni mechanicznych. Komin fabryczny, zgodnie z przepisami, został zbudowany z cegły i miał wysokość 100 stóp. Ściany kotła wykonano z solidnej blachy żelaznej. Ludwik Ferdynand Klatt zobowiązał się wobec rządu, że jego nowoczesna przędzalnia będzie oferować usługi pomorskim sukiennikom, przyspieszając wydatnie proces produkcyjny. Fabryka natychmiast otrzymała zlecenia państwowe. 29 maja 1842 ministerstwo przyznało Klattowi dotację w wysokości 1000

DSI

Drawskie Strony Internetowe

talarów, refinansując częściowo zakupione maszyny. Sumę przekazano fabryce Mohe z Berlina, która dostarczyła do złocienieckiej fabryki maszyny za 1479 talarów. 8 marca 1845 roku powiatowy landrat Bernd von Knebel-Doeberitz przekazał władzom miejskim informację, że maszyna parowa stała się własnością Ludwika Klatta. 11 września 1846 landrat zażądał od magistratu informacji o majątku Klatta i o wpływie pierwszej fabryki na gospodarkę miejską. Władze miejskie odpowiedziały, że - nie wliczając ziemi uprawnej, była i ruchomości - majątek Klatta ocenia się na 29 160 talarów, przy czym długi fabrykanta sięgały 14 000 talarów. Bardzo ciekawie o zmianach, jakie zaszły w mieście, mówi opis, który został sporządzony przez magistrat. Włókniarstwo stało się główną gałęzią gospodarki miasta nie tylko ze względu na liczbę zatrudnionych mieszczan, lecz także ze względu na przychody związane z przybywającymi do miasta sukiennikami, którzy chcieli skorzystać z usług nowoczesnej przędzalni. Farbiarze z całego Pomorza przyjeżdżali do Złocienca, czekając nawet tydzień i dłużej na usługi przędzalni Klatta. Na kwaterunek i wyżywienie przybysze wydawali znaczne kwoty, co prowadziło do poprawy bytu mieszkańców miasta. Powstanie przędzalni podniosło wartość produkcji do 113 085 talarów w roku 1845. Władze miasta wskazały na brak nowoczesnego urządzenia foluszniczego. Stare folusznicze młyny wodne nie były w stanie sprostać nowym obciążeniom, brakowało im mocy. Sukiennicy udawali się więc do oddalonych nowocześniejszych młynów w Lubiszewie i innych miejscowościach, co miało wpływ na cenę sukna. Na budowę nowoczesnych urządzeń foluszniczych brakowało środków, dlatego z radością przyjmowano deklaracje Ludwika F. Klatta o chęci podołania i temu wyzwaniu. Fabryka pracowała pełną parą i już w 1850 roku Klatt musiał sprowadzić z Berlina nowy kocioł parowy. Jednakże, realizując swoje odważne przedsięwzięcia, narażony był na wiele kłopotów. Niezbędną do budowy fabryki sumę 7000 talarów przekazał zaufanej firmie Jancke & Bohnhoff ze Szczecina. Podczas budowy firma ta splajtowała i powierzona jej kwota przepadła. Klatt był farbiarzem i nie znał się na przędzalnictwie, stąd ważne było pozyskanie fachowców. Na szczęście udało mu się zatrudnić wysokiej klasy przędzalnika: Henryka Gruetzmachera, który poślubił nawet córkę Klatta z pierwszego małżeństwa. Niestety, źle układały się stosunki młodej pary z małżonką Ludwika. Rozżłoszczony Gruetzmacher założył własną fabrykę, napędzaną siłą koni pociągowych. Interesy Ludwika F. Klatta szły dość umiarkowanie, na domiar złego uległ on wypadkowi, łamiąc obydwie nogi. Zmarł 13 listopada 1855 roku. Biegająca w pobliżu pierwszej fabryki uliczka otrzymała jego imię.



Ramy do suszenia płótna na Wąsawę

Wiarołomna postawa elektora podczas wojny-polsko szwedzkiej (1655-1660) sprowadziła na ziemię złocieniecką nowe nieszczęścia. W 1655 roku armia szwedzka zaatakowała Rzeczpospolitą. Polska przeżywała wtedy wielki kryzys. Nieudolnie prowadzona kampania przeciwko powstańcom Chmielnickiego, którzy zawarli sojusz z Tatarami, doprowadziła do kilku poważnych klęsk. Od wschodu ziemie litewskie zaatakowała też armia moskiewska, zdobywając nawet Wilno. W tym niekorzystnym momencie Szwedzi atakują od północy, odnosząc sukces za sukcesem. Dochodzi do zdrady niektórych magnatów i haniebnej

DSI

Drawskie Strony Internetowe

kapitulacji pospolitego ruszenia pod Ujściem. W tych trudnych chwilach lennik Rzeczypospolitej, książę Prus i elektor brandenburski - Fryderyk Wilhelm zwany Wielkim - staje po stronie najeźdźców. Być może uwierzył w bliski już koniec steranej wojnami Rzeczypospolitej? Kiedy szczęście wojenne opuści Szwedów, Fryderyk Wilhelm stanie się ponownie polskim sojusznikiem, za kolejną woltę zażąda jednak od króla polskiego uwolnienia Prus Książęcych od politycznej zależności od Polski. Po zawarciu pokoju oliwskiego w 1660 roku Fryderyk Wilhelm będzie nie tylko władcą suwerennej Brandenburgii, ale też władcą uwolnionych spod polskiej zwierzchności Prus. Zanim jednak do tego dojdzie, za sprytnie czyny elektora przyjdzie drogą zapłacić ludności Nowej Marchii.



W 1656 roku Nową Marchię dotyka boleśnie przemarsz armii szwedzkiej, która z kierunku Szczecina udaje się do Polski. Szwedzi dokonują licznych rekwizycji i rabunków, nie ograniczają się, niestety, do przemarszu, lecz zatrzymują się na dłużej w rejonie Złocienca i Drawska. Sytuacja w Złociencu nie przedstawia się dobrze, skoro złocieniecki związek strzelecki w tym roku rezygnuje ze swojego święta, w trakcie którego zwykle podczas zawodów wybierano króla strzelców. W tym samym roku w okolicie Złocienca wyprawił się oddział polskiego starosty Gabinowskiego. Polskie wojsko, jak to było w ówczesnym zwyczaju, płądowało i porywało zakładników, których wypuszczało dopiero po wypłacie okupu. W taki sposób Gabinowski wymusił na złocienieckiej radzie miejskiej wypłatę 2000 talarów. Ilekroć czytam interesującą pozycję dotyczącą historii powiatu drawskiego - *Der Landkreis Dramburg*, wydaną przez niemiecki Związek Ojczyźniany Dramburg - zwraca moją uwagę fakt, że w niemal każdej notce historycznej dotyczącej wsi lub miasteczka naszego powiatu umieszczona jest informacja o płądowaniu dokonanym przez armię Stefana Czarnieckiego. Jest to dość dziwne, ponieważ jednocześnie brak jest informacji o licznych spustoszeniach dokonywanych w tym samym wieku przez katolickie armie niemieckie i wojska szwedzkie. Polski wypad niczym się nie różnił od bardzo licznych wcześniejszych wypraw łupieżczych, organizowanych na przykład przez niemieckie armie Ligi Katolickiej. Trudno się oprzeć wrażeniu, że takie nierówne rozłożenie akcentów jest wyrazem tendencyjnego opisu regionalnych wydarzeń historycznych. Daleki od obiektywnej oceny stosunków polsko-niemieckich jest też historyk niemiecki Paul von Niessen. W swojej, skądinąd znakomitej książce, przypisuje Polakom tylko najgorsze intencje, a wojska polskie określa często nazwą „banda”. Dla Paula von Niessena każde uszkodzenie w miejskich umocnieniach było groźne ze względu na bliskość „wiecznie niespokojnych Polaków”. Bicie w dzwony w mieście nie było dla niego ogólnym sygnałem napaści wroga czy też nieszczęścia, ale właśnie sygnałem polskiej napaści. Tymczasem była to najspokojniejsza granica Rzeczypospolitej. Ta dysproporcja między faktycznym stanem rzeczy a ciągłym podkreśleniem polskiego

www.dsi.net.pl

DSI

Drawskie Strony Internetowe

zagrożenia wskazuje, że historyk w tym wypadku nie potrafił zdobyć się na obiektywizm. Epizod wkroczenia wojsk Stefana Czarnieckiego był nadużywany też przez polskich historyków w okresie PRL-u. Ten, typowy dla stosunków siedemnastowiecznych wypad plądrujący, w sposób naiwny przedstawiano jako krok ku polskości tych ziem. Fakt, że burmistrz Drawska wdał się w negocjacje z Polakami, gdyż potrafił się porozumiewać w języku polskim, miałyby świadczyć, że był on Polakiem. Wydawałoby się, że takie postępowanie należy już do przeszłości. Niestety, tak nie jest. Zawodowi historycy w swoich solidnych publikacjach przedstawiają te wydarzenia we właściwym świetle. Niestety, wciąż powstaje duża ilość amatorskich opracowań, których autorzy powtarzają propagandowe fałszerstwa rodem z PRL-u. Pod koniec września 1657 roku oddziały Stefana Czarnieckiego wkroczyły do Nowej Marchii. Historycy nie potrafią dzisiaj jednoznacznie stwierdzić, czy najazd był skutkiem samowolnej decyzji polskiego wodza, czy też etapem przygotowawczym do wyprawy na pomoc królowi duńskiemu. Bardziej prawdopodobna wydaje się pierwsza możliwość. Celem wyprawy miało być przewyciężenie trudności w zaopatrzeniu. Rabunki, które nastąpiły później, musiały być dokonywane za przyzwoleniem wojewody Czarnieckiego. Przemarsz polskich wojsk przez Marchię Brandenburską, który nastąpił rok później, pokazał, że Czarniecki potrafił jednak utrzymywać wojsko w żelaznej dyscyplinie. Podczas tego przemarszu nie było plądrowania, za co chwalił polskich wojaków nawet sam elektor. W 1658 roku ofiarą polskiej soldateski padło natomiast zaodrzańskie pomorze szwedzkie.



Wróćmy do Nowej Marchii we wrześniu 1657 roku. Czarniecki, uzasadniając łupieżczą wyprawę, miał się zwrócić do jednego ze swoich oficerów następującymi słowami: "Niech wie lis zdradziecki, czego się po nas spodziewać. Mamy wciąż własnych chłopów z bydła i kur obdzierać? Lepiej elektorskich krów posmakujmy. Tak, panowie, na koń, do Marchii! Tam należną zapłatę z elektora ściągniemy. Będzie on krzyżeć, to pewne, ale się tym zasłonimy, żeśmy o traktacie nie wiedzieli." Trudno ocenić wiarygodność przytoczonej wypowiedzi, ale oddaje ona dobrze intencje wojewody. Polscy żołnierze łupili Nową Marchię, traktując ją jak teren wroga, a tymczasem obowiązywał już traktat z Welau, na mocy którego elektor stał się polskim sojusznikiem. Polacy założyli obóz pod Stargardem i rozpuścili po okolicy dwudziesto- i czterdziestoosobowe podjazdy. Żołnierze grabili, palili, zabierali bydło i porywali zakładników. 30 września spłonęły Łobez, Węgorzyno, Ińsko i wiele wsi. Złocieniec musiał zapłacić znaczną sumę 2500 guldenów. Burmistrz Drawska, Fryderyk Hake, wykorzystał znajomość języka polskiego i wynegocjował w obozie Czarnieckiego mniejszy okup, zaledwie w wysokości 1200 talarów. Kilka dni później polskie wojsko wróciło do Wielkopolski. Wyprawa trwała 10 dni. Proboszcz z Mielenka Drawskiego wymienił w sporządzonym przez siebie dokumencie wioski spalone: Bucierz, Ziemsko, Konotop, Mielno, Oleszno, oraz splądrowane: Świerczyna, Żabinek, Gawroniec, Cieszyno, Jankowo, Kociołek, Karwice, Dłusko, Gudowo, Dalewo, Linowo, Stawno, Lubieszewo, Osiek, Żabin, Będolino, Borujsko, Ostrowice, Suliszewo, Chlebowo, Psie Głowy i Gronowo.